

Fragment powieści

(dotyczący zawahu w jaskini, przygody z nietoperzami oraz jaszczurką zwinką)

Chwatko postanowił jeszcze raz się upewnić, czy wszyscy są gotowi do wejścia w czeluście jaskini.

— No co, moi mili! Wchodzimy?! — zagaił i popatrzył na twarze swoich towarzyszy. A że te różniły się między sobą wyrazem, spytał: — Czy ktoś zmienił zdanie? Bo jeżeli tak, to teraz jest ostatni moment, aby się wycofać.

— No coś ty, Chwatko! Chyba nie wierzysz, że ktoś taki by się znalazł? Rzeczą jest więc zrozumiała, że włączymy wszyscy do tej dziury. I basta! — zapowiedział buńczucznie Gagattek i na wszelki wypadek łokciem łupnął Gabcia w bok, bo akurat jego mina wydała mu się najbardziej podejrzana.

— A ty bądź lepiej cicho, Gagatku. I zostaw Gabcia w spokoju — poleciała braciszce Śmieszka, i zwracając się już do wszystkich, powiedziała: — Myślicie, że trzeba jeszcze raz głosować?

— Mowy nie ma! — wyrwało się naraz z większości młodych gardeł.

— A więc, moi drodzy! — zaczął znów Chwatko. — Kiedy wejdziemy już do środka, wszyscy musimy się trzymać razem. Żadnego odchodzenia. Żadnego oddalania się. Żadnego też robienia czegokolwiek na własną rękę. Idziemy jeden za drugim. Gęsiego. Myślę, że najlepiej będzie, jak pójdziemy w takiej samej kolejności jaką K-Y ustalił na samopojazd, tyle że ja będę prowadził, bo znam już trochę tę jaskinię. Ja pójdę więc jako pierwszy, a wy, w wiadomej kolejności, za mną. W jaskini pozostaniemy najdłużej godzinę. Jak wytrzymacie, oczywiście. A pozostałe prawie dwie godziny do kolacji, spędzimy jadąc wzdłuż rzeki Bobrzej. Tam na pewno spotkamy nasze znajome bobry, to będziemy mogli się na chwilę zatrzymać. A potem, wzdłuż potoku aż do Łysej polany i do domu. Co, zgadzacie się?

— Jasne! — krzyknęły dzieci. A Gagattek od siebie dokrzyczał jeszcze: — Jasne, że jasne! Jasne... jak słońce jasne!

Nie było na co czekać. Dzieci poderwały się z ziemi ustawiły w rzędzie według kolejności. Chwatko rzucił hasło: — „Kierunek jaskinia!”. I wszystkie grzecznie, jedno za drugim, ruszyły do wejścia do ciemnej jaskini. Jednak zanim do niego doszły, w każdym z nich mieszały się różne uczucia. Lecz w większości z nich były to uczucia pozytywnych emocji. No, może tylko Śmieszka nie miała aż tak bardzo pozytywnych. Gabcio natomiast był przestraszony nie na żarty. Starał się jednak ukryć swój stan, pocieszając w myślach samego siebie, że w razie czego, jego rodzeństwo na pewno się nim zaopiekuje i będzie się o niego troszczyć. A Nosolek? Nosolek wprawdzie nie był przestraszony, ale nie był też zachwycony zwiedzaniem jaskini. Podciągał tylko nosem, i kręcąc nim, wyczuwał wyraźny odór stęchlizny wydobywający się z nieprzyjemnej (a może i strasznej?) jaskini. Z nikim się jednak nie podzielił tym niemiłym odczuciem. Bo i po co? Skoro wszyscy stali już w wejściu gotowi nieodwołalnie do wejścia.

Chwatko swoim zwyczajem sprawdził jeszcze raz swój plecak, czy wszystko jest na miejscu i czy nic nie zgubił w czasie tej szaleńczej jazdy. A zwłaszcza, czy nie

zgubił — na już potrzebnej — dużej latarki, którą zawsze nosił w swoim plecaku.

Chwatkowy plecak był świętością. Nikt nie miał prawa go ruszać, i to pod żadnym pozorem. Nawet mamcia Radosna dobrze o tym wiedziała. Dlatego też zapakowała dzieciom prowiant na drogę właśnie do jego plecaka. Znając swego pierworodnego, domyślała się, że w jego plecaku można by było, w razie czego, znaleźć wiele pożytecznych rzeczy, które mogłyby się okazać bardzo pomocne, też w razie czego. I tak na wszelki wypadek, dla pewności, wiedziona matczynym instynktem nieraz sprawdzała (gdy nikt nie widział) zawartość Chwatkowego plecaka, czy aby w nim nie brakuje właśnie tych najważniejszych i najpotrzebniejszych rzeczy.

Chwatko, uspokojony, że wszystko jest w należyтым porządku, wyciągnął z kieszonki plecaka swoją latarkę, włączył ją i rzucił długą smugę światła w głąb ciemnej jaskini. Widząc to, K-1 i K-2 prawie jak na zawołanie wyciągnęli z kieszonek swoich pasów bezpieczeństwa jakieś małe kulki, przykręcili szybkim ruchem do szpiczastych antenek na swoich berceikach i... rozbłyśli jasnym światłem. Achom i ochom ludkowych dzieci nie było końca. Tak bardzo były zafascynowane swoimi księżycowymi przyjaciółmi. Tym bardziej, że rodzeństwo K, świecąc jak dwie latarnie morskie, szeroko się przy tym uśmiechało. A to dało dodatkowy efekt. Chwatкови też się podobała ta gra światel w wykonaniu K-1 i K-2, ale nakazał im na razie przestać świecić, gdyż tak ostre światło mogłoby niepotrzebnie obudzić śpiące w jaskini nietoperze. Księżycowe rodzeństwo natychmiast wykonało to polecenie i przestało świecić. I choć zrobiło się momentalnie ciemniej w wejściu do jaskini, to jednak ich wcześniejsza demonstracja światel przyczyniła się do tego, że Gabcio poczuł się o wiele raźniej. Nosolek chyba też. A i Śmieszka zaczęła nawet z uśmiechem popędzać Chwatka, aby wreszcie wprowadził ich do środka.

Weszli. Oczom wszystkich ukazał się niesamowity widok. Nieco groźny, ale i piękny. Nieco przerażający, ale i ciekawy. Jaskinia była ogromna, wydawała się nie mieć końca. Już jej komora wejściowa z częściowo zawalonym stropem wydawała się jak czeluść piekielna. A co było dalej? Od komory wejściowej rozchodziły się w różnych kierunkach różnej wielkości i różnej długości korytarze. Jedne były dość szerokie, inne zaś bardzo wąskie, że trudno by się było przez nie przecisnąć. A jakie były długie? Kto to wie? Strach pomyśleć, a co dopiero sprawdzać.

Kiedy dzieci przesuwwały się wolno, krok po kroku, za swoim przewodnikiem, patrzyły bardziej pod nogi niż na boki, czy do góry. Ale gdy Chwatko się zatrzymał i nakazał im się również zatrzymać, wydawało im się, że zaszły daleko i na pewno stoją już gdzieś po środku komory. Chwatko zaczął rzucać strumieniem światła latarki po jej ścianach i stropie. Wtedy dzieci zauważyły wielką zmianę w jej wyglądzie. Nie sprawiała już tak piekielnego wrażenia, wywołującego dreszcze na plecach, jak na początku. Wręcz przeciwnie, zaczęła się im wydawać wspaniała i tajemnicza. A w miarę wpatrywania się w nią, nabierała wyglądu pięknej królewskiej komnaty z bogato urządzonym wnętrzem. Wprawdzie źródło światła, jakim dysponował ich przewodnik, nie dawało aż takiej jasności, ale dawało bajeczne efekty świetlne. Bo komnata pod jego wpływem zaczęła połyskiwać niesamowitymi barwami. Wiszące na stropie przepiękne stalaktyty mieniły się w różnych kolorach, niczym królewskie girlandy. Ich rozmiary i kształty były tak przeróżne, i tak przedziwne, że patrząc na nie aż dech w piersiach zapierało. Równie pięknie

połyskiwały wyrastające z podłóża komnaty stalagmity. Wyglądały jakby były brokatem obciążone. Wszystko to sprawiało wrażenie umeblowania komnaty w zamczysku królewskim, ale wykonanego na szczególne zamówienie jakiegoś ekscentrycznego króla. I choć były bardzo dziwne, to w tej swojej dziwności jeszcze piękniejsze. Co nawet jako pierwszy zauważył Gagatek, a on przecież nie miał jeszcze aż tak bardzo wyrobionej wrażliwości na piękno. A może po prostu widział wszystkie te wspaniałe rzeczy bardziej od strony praktycznej? Całkiem możliwe, bo kiedy zauważył przy prawej ścianie komory coś, co przypominało mu swoim wyglądem olbrzymi tron z tak jakby przystawionym do niego podnóżkiem, tak bardzo był zadowolony ze swojego odkrycia, że głośnym szeptem zameldował o tym wszystkim:

— Ooo, widzicie? Tam jest tron królewski. Patrzcie, jak cudnie połyskuje w świetle latarki. A jak pięknie jest wyrzeźbiony. Ho, ho! Widzicie? I nawet ma podnóżek. Ja chyba padnę z wrażenia. Widzicie to co ja? Bo ja wyraźnie widzę nad tronem rozpostarty baldachim. O rany, ale on jest fikuśnie udrapowany. Na pewno zasiada tu potężny król jaskini. A może nawet wszystkich jaskiń. No, no! Wierzcie mi, wiem co mówię, bo podobny tron widziałem w mojej książeczce z bajkami... Hurra! Jesteśmy żywcem w bajce!

— Oj, Gagatku, bujaj las, a nie nas — szepnęła Gryzio. Ale go jednak zaciekawiły Gagatkowe fantazje, więc zaczął go podpuszczać. — A te cztery kolumny naciekowe, które powstały z połączenia się narastających stalaktytów i stalagmitów, to z czym ci się kojarzą?

— No jak to z czym? — Gagatek aż podskoczył z wrażenia, słysząc tak głupie pytanie. — Toż to wypisz, wymaluj... królewska sala kolumnowa.

Gagatkowi tak bardzo się spodobała własna fantazja, że koniecznie, choć na chwilę, chciał zasiąść na tronie i poczuć się władcą jaskini. Chwatko kategorycznie zabronił. Ale Gagatek, uparty jak osioł, cierpliwie wwiercał mu się w ucho swoją prośbą, że ten w końcu na odczepnego przystał na to. Wtedy zadowolony z siebie "przyszły król", nakazał rzucić jasność na miejsce mu przynależne, po czym zniemacka złapał Gabcia za rękę i pociągnął za sobą.

— Chodź za mną, mój słodziutki, będziesz moim paziem — wypowiedział dostojnie. — A ja, twój łaskawy król Gagat, pozwolę ci łaskawie, zająć miejsce na moim podnóżku.

— A daj ty mi spokój, królu od siedmiu boleści! — zawołał Gabcio półgłosem, próbując zaprzeć się nogami. Widząc jednak wielką determinację na twarzy brata, wreszcie się poddał i pozwolił mu się ciągnąć. Ale chciał mu przynajmniej coś jeszcze słownie nawtykać. Już nabierał porządny łyk powietrza w płuca, aby jego szept był bardziej słyszalny, gdy nagle, z całych sił zapał się nogami i stanął jak wryty, wytrzeszczając oczy, i to tak bardzo, iż mogłoby się wydawać, że lada moment wyskoczą mu z oczodołów. W momencie zbladł na twarzy powodowany ogromnym przerażeniem i drżącym palcem wskazał na tron. Po czym zrobił głęboki wdech i wrzasnął zdławionym lecz przeciągłym głosem: — Raaaatuuunkuuuu!

— A ty czemu się nadzieras, hę?! — zgromił brata Gagatek. — Zapomniałeś, że w jaskini nie wolno hałasować? Szeptem do mnie mów, bo zaraz jakiś kamyczek może ci guza nabić ku pamięci. Chyba że tego chcesz, bo tak jak papcio Chwat, bez guza

źle się czujesz... Co to jest z tymi guzami w naszej rodzinie? A niech tam! Na razie dajmy sobie spokój z rodzinnymi guzami... więc teraz mów mi tu natychmiast, co to ma znaczyć, to twoje durnowate „ratunku”? No dobra, zacznijmy jeszcze raz: Jam jest król Gagat, zaznaczam, łaskawy król Gagat, i pozwalam ci, mój paziu Gabro, usiąść na moim podnóżku... No i czemu się zapierasz jak głupi jakiś? Podnóżek to nie gilotyna. Nie wyłupiaj tak na mnie gał tylko się rusz. Rusz się, powiadam! Zapaściłeś korzenie... czy jaka bida?

Gagatek gdyby mógł, to by jeszcze długo tak ćwiczył swojego brata. Tym bardziej, że za plecami słyszał zdławiony śmiech reszty jaskiniowego towarzystwa. Ale tym razem nie było mu to dane. Oj, nie!

— Raaatunkuuu! — Gabcio znów wrzasnął przeraźliwie, ale o wiele głośniejsze, ile tchu w płucach.

To co nastąpiło potem, trudno opisać. W jaskini rozegrały się dantejskie sceny. Wrzask Gabcia podchwyciło jaskiniowe echo i rozniosło po całej jaskini. Z krótkiego słowa: — „ratunku” (okey, z nieco dłuższego, bo "raaaatuuunkuuuu") — zrobiło sobie przerażającą, piekielną muzykę. Ciskało tym słowem od jednej ściany komory do drugiej, rozdrabniając je pomiędzy stalaktytami i przeliterowując pomiędzy stalagmitami. To znów z wielką furją rzucało pierwszą sylabą o strop, a dwie pozostałe wciskało do dwóch największych korytarzy jaskini. A te wracały stamtąd piekielnie zmienione. Brzmiały jak szyderczy śmiech diabłów z najgłębszych czeluści piekła. Wszystkie te dźwięki, docierając do najdalszych nawet zakamarków jaskini, odbijały się od nich i wracały z powrotem. Za punkt zborny obierając sobie komorę, spotykały się na samym jej środku, gdzie mieszały się ze sobą chaotycznie. Skutkiem czego: wyło, dudniło, grzmiało, piszczało, stukało, gwizdało. Naraz i z osobna. I tak parokrotnie. A taka piekielna muzyka nie mogła pozostać bez następstwa. I nie pozostała. Zadowolone z siebie echo zawirowało raz jeszcze wszystkimi dźwiękami naraz, i by je jeszcze bardziej wzmocnić, wydało z siebie potężny, ironiczny i mocno wibrujący śmiech. No i stało się. A stało się najgorsze. Wibrujący śmiech złego echa jaskiniowego wprowadził w wibrację całą komorę. Komora zadrzała u posad. Zadrzały jej ściany. Zadrzał strop. A to spowodowało, że ze ścian z głośnym jazgotem zaczęły się obsypywać kamienie, tudzież duże nawet głazy. Zaczęły się obsuwać podpory podtrzymujące strop komory i... nastąpił zawał. Komorę targnęło okrutnie. Z piekielnym hukiem zawaliła się jej lewa część. Powietrze wypełniło się gęstym kurzem i stęchlizną oraz nagłym i przeraźliwym piskiem nietoperzy. Całe roje wyrwanych ze snu nietoperzy w ogromnym chaosie cięły skrzydłami gęste powietrze. Jak oszalałe szukały na oślep schronienia. Takie zachowanie nietoperzy świadczyło dobitnie o zaistniałej w jaskini katastrofie. W normalnej sytuacji nietoperze wiedzą jak się poruszać. Wykorzystują do tego celu swoje zdolności echolokacyjne*.

* Echolokacja — (gr.- łac.) zdolność niektórych zwierząt (zwł. nietoperzy i delfinów) do określenia położenia obiektów w otoczeniu za pomocą echa specjalnych dźwięków wydawanych przez te zwierzęta.

Aż tu nagle, potężny hałas, jaki niespodziewanie nastąpił, tak też niespodziewanie ustąpił. Nawet nietoperze zaczęły milknąć. Słyszać było już tylko ich pojedyncze popiskiwanie. Nastąpiła nagła cisza. Czy aby nie złowieszcza?

Wszystkie te tragiczne zdarzenia następowały po sobie w ułamkach sekund. Jednak Chwatko okazał się być wprawnym jaskiniowym przewodnikiem. Zdążył w porę zgarnąć ogarnięte paniką dzieci i wcisnąć je do wnęki skalnej w prawej części komory. Jakby przeczuwał gdzie nastąpi zawał.

Ósemka dzieci stała ściśnięta we wnęce i tuliła się do siebie. Z przerażenia i trwogi każde z nich dzwoniło zębami niemiłosiernie. Prym w tym dzwonieniu wiódł Gryzio. Wiadomo z jakiego względu. I kiedy te ich dźwięki trwogi stawały się coraz bardziej słyszalne, gdyż natura jaskini, rezygnując ze swoich dźwięków, cichła co raz bardziej, Chwatko odwołał alarm.

— Uspokójcie się. Już po wszystkim. Już będzie dobrze. Odczekamy tylko aż opadną te tumany kurzu oraz pyłu jaskiniowego i wyjdziemy z wnęki. Ale ja pierwszy wyjdę. Wy tu na mnie poczekacie. Muszę sprawdzić jakie są zniszczenia. Miejmy nadzieję, że nie są aż tak wielkie... No tak, ale nie mam latarki. Jakiś spadający odłamek skalny wytrącił mi ją z ręki. Jeżeli jej nie znajdę w pobliżu, to będę potrzebował twojego światła K-1. Co, pójdziesz ze mną?

— Oczywiście, że tak — pośpiesznie odpowiedział K-1. — Ale pierw mi powiedz, co to było? Na litość Wszechświata, co to było?

— Zawał... byliśmy świadkami zawału wewnątrz jaskiniowego. Czasami do niego dochodzi z powodu zbyt dużych wibracji nagromadzonych pod ziemią. Wtedy wystarczy małe tąpnięcie albo nawet niewielkie drgania powietrza wywołane przez echo jaskiniowe. A echo potrafi wychwycić najmniejszy nawet hałas i czasem zrobić sobie z niego piekielny koncert. I taki właśnie koncert urządziło nam przed chwilą. A efekt tego jego koncertowania mamy właśnie przed oczami, a właściwie jeszcze nie mamy, bo ciemno, że oko wykol.

— No widzisz, ty głupolu, coś narobił? — zachrypniętym głosem odezwał się w ciemnościach Gagat. — A mówiłem ci, ty gapowaty Gabciu, że masz się nie wydzierać.

— Cicho bądź, Gagat — zgromił brata Chwatko. — Teraz już za późno na twoje uwagi. A tak właściwie, to ja jestem winien, bo pozwoliłem ci się oddalać. Daj więc spokój Gabrowi, no i... no właśnie, Gabciu, co z tobą? Wszystko już w porządku?

— Sam nie wiem — z namysłem odpowiedział Gabcio, szukając w ciemnościach ręki starszego brata. I kiedy jej nie znalazł, wtulił się w kogoś kto był najbliżej. A była to Śmieszka.

— No, mój malutki, już dobrze — zdławionym głosem odezwała się, tuląc Gabcia do siebie jeszcze mocniej. Sama była przerażona do granic jej dziewczęcych możliwości, ale starała się tego nie pokazać. — Powiedz mi, co cię tak wystraszyło, to ja cię przed tym obronię.

— Smoki, dużo smoków! — głośnym szeptem wydusił z siebie Gabcio, drżąc na całym ciele. — One tam leżały na podnóżku przy tronie króla Gagata. (Gabcio najwyraźniej był ciągle w szoku).

— Coś ty, mój paziu! Pofyrtało cię, czy co? — Gagat ochoczo podłapał

temat i ciągnął go dalej: — Jakiem król Gagat, zapewniam cię, że wszystkie smoki już w dalekiej przeszłości wytlukłem z kretesem.

— Poczekaj... poczekaj! — głośno szepnęła K-1 z nutką wesołości w głosie. — Wiecie, muszę wam powiedzieć, że ja też coś tam widziałem, i już chciałem krzyknąć do bliźniaków, by zawrócili, ale było już za późno. Gabcio mnie uprzedził. Tylko nie wiem, czy to były akurat smoki. Bo też nie bardzo wiem, co to są smoki. Mnie te żywe stworzenia przypominały bardziej krokodyle, jakie widziałem w Encyklopedii Fauny Ziemskiej, tyle że nie były aż takie duże.

— Aha, to już wiem, co to mogło być — zakomunikował Chwatko, a głos jego był też zabarwiony lekką wesołością. — To były na pewno jaszczurki zwinki. One wprawdzie najbardziej lubią wygrzewać się na słońcu i najwięcej można ich spotkać na łąkach, polanach, czy też na obrzeżach lasu, ale pod wieczór kryją się w jaskiniach. Tu odpoczywają i nabierają sił, aby rankiem znów wypełznąć na zewnątrz na żer i kąpiele słoneczne. To bardzo miłe gady. Żywią się owadami i na pewno nikomu z nas krzywdy by nie zrobiły.

— Biedulki takie... — Nagła żałość wzięła Gagatka i znów napadł na Gabcia. — No widzisz, coś narobił? Wystraszyłeś tylko nieboraczki.

— Gagat, zamknij się w końcu — wycedził prze zęby zdenerwowany Gryzio i na wszelki wypadek zaczął przebierać nogami, co by się nie okazało, że jakaś jaszczurka znalazła sobie schronienie na jego kamaszkach. A i nadepnąć na taką też mu się nie uśmiechało. Zaczął nawet obmacywać całe swoje ciało. — Coś mnie tu uwiera. Co to jest? Och, przepraszam K-2, to chyba twój pas bezpieczeństwa...

— Tak, tak, to ja Gryziu. Ty mnie łaskoczesz... — zawołała K-2, chichocząc. Gdy przestała, powiedziała poważnym głosem: — Koniecznie muszę mieć taką zawinkę, a najlepiej dwie, do pary. No co chłopaki, złapiecie mi te ślicznotki na pamiątkę?

— Nie zawinkę, tylko zwinkę — poprawił przyjaciółkę Chwatko. — Zobaczymy, co da się zrobić. O ile one się nie pochowały w szczelinach skalnych. Ale najpierw muszę sprawdzić w jakiej sytuacji my się znajdujemy.

— Czuję, że to będzie możliwe, K-2 — odezwał się milczący do tej pory Nosolek i przeciągle podciągnął nosem.

— Czekajcie... widzę że kurz i pył nieco opadł — oznajmił Chwatko. — K-1 musisz jednak trochę poświecić, to może znajdę tę swoją nieszczęsną latarkę.

— Już się robi — zawołał K-1 i po chwili rozbłysnął jasnym światłem. — Ty, co jest? I tak nic nie widać.

— No właśnie, okazuje się, że zapylenie jest jednak tak ogromne, iż pod wpływem twojego mocnego światła widać tylko, a właściwie nawet widać, pojedyncze mikroskopijne drobinki pyłu. A jest ich tyle, że razem tworzą gęstą, nieprzejrystą zasłonę. Musimy jednak jeszcze trochę poczekać — wyjaśnił spokojnym tonem Chwatko, ale sam czuł się już trochę zaniepokojony.

Dzieci stały stłoczone we wnęce skalnej nadal i dla otuchy opowiadały sobie różne przyjemne historie ze swojego życia. A czas mijał. Minuta po minucie. W końcu Chwatko zdecydował się ponowić próbę.

— No, K-1, ryzyk-fizyk, wychodzimy — z determinacją oznajmił przyjacielowi i po trosze reszcie uwięzionych. A po krótkiej chwili, w której nad czymś dumał, dodał: — Wy tu czekajcie spokojnie i cierpliwie. My się tylko szybko rozejrzemy, co

i jak, i zaraz po was wracamy. No, to do zobaczenia... K-1, ruszamy, bo czas nagli.

— A nagli, nagli... i to jeszcze jak — zareagował K-1 i rozświetlił się własnym światłem w pełnej krasie. — Musimy się naprawdę wyzwolić w końcu z tej pułapki i pomyśleć pomału o powrocie do domu, bo nasi starzy gotowi nas zacząć szukać. A to byłoby niewskazane, oj, nie.

— Poczekaj, K-1, i wyłącz na razie światło — poleciał pośpiesznie Chwatko, bo zobaczył coś, co mu krew w żyłach zmroziło. I kiedy K-1 wykonał jego polecenie, zaczął po omacku grzebać w swoim plecaku. W końcu wyciągnął mały pled, i próbując zachować zimną krew, ręką szukał głów dziewcząt. A żeby je nie wystraszyć, spokojnym tonem powiedział: — Słuchajcie dziewczyny, przykryję wam teraz włosy, aby zbyt dużo pyłu nie osiadło na waszych pięknych główkach. A potem wszyscy razem chwycimy się za ręce... i powoli, krok po kroku... wychodzimy z wnęki.

— Chwatko, co z tobą? Dlaczego zmieniłeś zdanie? — spytał K-1, podejrzewając, że coś nie gra. Nie wytrzymał nerwowo i odruchowo włączył światło i też poczuł, że krew zamarza mu w żyłach.

Jaskinia znów wypełniła się przeraźliwym piskiem. Piskiem dzieci i piskiem setek nietoperzy. Okazało się, że spłoszone zawałem nietoperze schroniły się w tej samej wnęce. Wisiały tam cichutko przyczepione pazurkami do sklepienia wnęki, ponad głowami niczego nie podejrzewających dzieci. Ale kiedy K-1 po raz wtóry włączył światło, kilka z nich się poruszyło i załopotało skrzydełkami. I tak się zaczęło... Lawina wydarzeń ruszyła na dobre.

Jak to dobrze, że chociaż echo się tym razem nie włączyło. Na szczęście akurat odpoczywało, umęczone swym niedawnym koncertem. Tak że nic podobnego, co działo się w jaskini wcześniej, więcej się nie wydarzyło. Ale to, co działo się z powodu nietoperzy i tak dzieciom wystarczyło. Aż nadto. Biegały po całej komorze jak oszalałe i z przeraźliwym piskiem machały chaotycznie rękami. A spłoszone nietoperze fruwały po całej komorze jak oszalałe i z piskiem machały chaotycznie skrzydełkami. Zgiełk był przeto niesamowity. Najbardziej piszczała Śmieszka, przy wtórze K-2. Obie biegały z Chwatkowym pledem na głowie i co rusz się wywracały z jeszcze większym piskiem, nie mogąc skoordynować razem swoich ruchów. Jak jedna chciała biec w prawo, to druga akurat w lewo. I na odwrót. A żadna nie chciała stracić nakrycia głowy.

Natomiast Gagatek i Gabcio, trzymając się za ręce, ganiłi raz za dziewczynami, raz za Gryziem i Nosolkiem, a raz za Chwatkiem i K-1. W końcu instynktownie wyczuli, że trzeba biegać przede wszystkim za dziewczynami, bo jakkolwiek by one nie biegały, to starsi chłopcy znajdowali się ciągle tuż przy nich. Czasami przed, czasami za, ale ciągle w ich pobliżu.

Trudno było przewidzieć, w którym konkretnie kierunku ten piszczący i dziwny stwór o czterech nogach podąży, gdyż ni stąd, ni zowąd, robił nagły zwrot i cała bieganina zaczynała się od początku. Czwórka najstarszych chłopców zachowała najwięcej zimnej krwi, zwłaszcza Chwatko i K-1. Chłopcy usilnie próbowali wyłapać dziewczyny i jakimś cudem obalić je z nakrytymi głowami na ziemię. Bo wyglądało na to, że w końcu wejdą w kolizję z jakimś stalagmitem i porozbijają się niczym spadające z drzew ulęgałki. Chaos był niesamowity. W końcu Chwatkowi udało się z

wyskoku chwycić obie dziewczyny za ramiona, wtedy K-1 dobiegł z drugiej strony i wyhamował im szybkość, zapierając się nogami z całych sił. Gryzio i Nosolek dobiegli z kilkusekundowym opóźnieniem, ale przynajmniej wykorzystali siłę swojej szybkości i w biegu powalili obie naraz na ziemię. Może trochę za mocno, ale efektywnie. Śmieszka wtulona w K-2, a K-2 wtulona w Śmieszkę leżały bezradnie na ziemi jak czworonożna, bezgłowa poczwarka i dalej piszczały w najlepsze. A po chwili to już wręcz wrzeszczały, i to wniebogłosy, bo Gagatek i Gabcio, nie dając rady wyhamować, wylądowali im na plecach.

— Ufff! — z bezgraniczną ulgą sapnął Gagatek i zepchnął Gabcia z pleców dziewczynek, samemu pozostając w takiej pozycji, w jakiej wylądował. — Nareszcie! Co wam palma odbiła, czy co innego? Jak można tak latać? Tchu mi brakuje. Ale się wkurzyłem... A wy, cicho tam! Drą się jak opętane i nie wiadomo czemu. Biednych gacków się wystraszyły. Chwatko powiedz im, że nietoperze gacki, podobnie jak jaszczurki zwinki, jedzą tylko owady, a nie ludki. Ludki im nie smakują, gardzą nawet księżycowymi ludkami. No, gadajże coś tym wrzaskliwym babom, bo ja już nie mam siły. Wnerwiony jestem, że ho ho!

— Gagat, zamknij się wreszcie, bo zaraz ja się wkurzę! — huknął zdenerwowany Chwatko, i sapiąc jak lokomotywa, zdjął brata z pleców ciągle wrzeszczących dziewczynek — I jak ty się w ogóle wyrażasz? Oberwiesz za te baby od Śmieszki. Możesz być tego pewien.

— Och, przepraszam Chwatko. Tak mi się jakoś wysnęło. — Gagatek okazał cień skruchy. — Ale głowę dam, że one i tak nic nie słyszały, bo drą się jakby je kto ze skóry obdzierał. No wpłyn jakoś na nie, bo ten ich wrzask wyprowadza mnie z równowagi.

— Cichutko, królu Gagatku — zaświergolił słodziutko Gabcio, próbując objąć braciszka w pól. Ale ten go odepchnął i znacząco popukał się po czole. Jednak to nie zniechęciło Gabcia do kontynuowania terapii uspakajającej, ciągnął więc dalej: — No, nie denerwuj się już królu. Do nóg króla padam i proszę, uspokójmy razem te wrzaskliwe dziewice, bo niedobre echo jaskiniowe w końcu je usłyszy i znów piekielny koncert nam urządzi.

— Obaj się uspokójcie! I to natychmiast! — gniewnie zażądał Chwatko, ale na wszelki wypadek dotknął czoła Gabcia, gdyż sam już nie był pewien, czy Gabciovi przypadkiem coś nie dolega, czy zgrywa się tylko, bo ma w tym jakiś swój cel. Po chwili stwierdził, że na szczęście to drugie, bo gdy tylko przyłożył rękę do Gabciowego czoła, to ten momentalnie mocno się do niego przytulił. Zrozumiał wtedy, że Gabcio właśnie takim sposobem, chciał zwrócić na siebie uwagę. Chciał, żeby ktoś się nim zajął. Żal mu się zrobiło braciszka, bo pojał jak bardzo on musiał być przerażony. Pogłaskał więc go po policzku i spokojnym już głosem powiedział: — Nie bój się, Gabciu. Już wszystko w porządku. Zaraz wyjdziemy z jaskini i pojeździmy sobie po lesie. Co? Nie boisz się już, prawda?

— Ja nie wiem... — zawahał się Gabcio i jeszcze mocniej wtulił się w starszego brata. — A powiesz dziewczynom, żeby już nie krzyczały? A powiesz im, że te nietoperze nie jedzą ludków? A powiesz im...

— Powiem, powiem... A ty się już nie bój, bo echo jaskiniowe usnęło i nic złego nam już nie robi... Chodź, to razem im to powiemy — uspakajającym tonem

powiedział Chwatko i pociągnął brata za rękę w kierunku dziewczynek, nad którymi pochylali się pozostali chłopcy i jeden przez drugiego próbowali je uprosić, aby wreszcie przestały wrzeszczeć.

Zabawny był to widok. Chwatкови zachciało się aż śmiać, chociaż wystraszone dziewczynki, leżąc na ziemi pod pledem przeżywały swoisty dramat. Ale w końcu musiały się dać uspokoić. Tym bardziej, że w jaskini oprócz ich wrzasku, od paru minut było już zupełnie cicho. Wszystkie nietoperze poznikały gdzieś w korytarzach jaskini i nie było ich w ogóle widać. Powodowane swym zwierzęcym instynktem, znalazły sobie odpowiednie schronienie i umilkły. Natomiast dziewczynki ciągle nie, bo nie były pewne swego bezpieczeństwa. A histeria, w jaką obie wpadły, niczym spirala się w nich nakręcała.

Chwatko postanowił zapanować wreszcie nad wystraszonymi dziewczynkami. Przykładając palec do ust na znak ciszy, kazał wszystkim chłopcom się uciszyć. Zaś świecącemu nieustannie K-1, nakazał pochylić się nad leżącymi dziewczynkami, aby łatwiej im było odzyskać jasność... umysłu. Sam natomiast ukląkł na kolanach, i jedną ręką trzymając Gabcia, drugą próbował powoli odsłonić nieco twarze dziewczynek spod pledu. I gdy mu się udało zrobić małą szparkę, zaczął łagodnie do nich przemawiać:

— Słuchaj, Śmieszka, słuchaj, K-2, już dawno jest po wszystkim. Zobaczcie same. Nietoperzy nie ma, odleciały. One się nas też bardzo wystraszyły i uciekły od nas... gdzie pieprz rośnie. Na pewno już nie wrócą. Wyłażcie spod pledu i wstańcie z ziemi, bo jeszcze się przeziębicie... — Chwatko zrobił krótką pauzę, aby sprawdzić jaki efekt osiągnął. Z zadowoloną miną stwierdził, że pod pledem robiło się już coraz ciszej i ciszej. Odsłonił więc twarze dziewcząt zupełnie i... sam się wystraszył. Wyglądały okropnie. Obydwie blade jak papier, przy czym K-2 wyglądała na jeszcze bledszą niż Śmieszka, bo i twarzy miała więcej. Obydwie były rozczochrane jak chochoły. A ich trzy pary oczu wyrażały przerażenie, ale było to przerażenie tak jakby już ze znakiem zapytania. — To chyba dobrze? — pomyślał i podciągnął Gabcia bliżej, aby był bardziej widoczny tym trzem parom oczu. Po czym mimiką twarzy nakazał mu mówić.

— Hejże, Śmieszka, hejże, K-2, już wszystko gra... niedobre echo już nie zagra... Nie zagra, bo śpi... a jak śpi, to nie gra... tego, no... jak mu tam... piekielnego koncertu. — Gabcio nieskładnie, ale ochoczo zabrał się za wyłuszczenie dziewczynkom istoty sprawy. A sprawa była dla niego prosta: uspokoić je, bo on sam był już uspokojony. Kiedy usłyszał za plecami jakże swojski chichot brata bliźniaka, poczuł się jeszcze lepiej. Z jeszcze większą więc werwą przystąpił do dalszego pocieszania leżących. — A te gacki nietoperze, to wcale nie lubią ludków. To jest, nie lubią ludków jeść. Gagatek mówił, że one żrą tylko robale, bo ludki im nie smakują... No, Chwatko, powiedz im, że tak jest!

— No dobrze. Powiem, że mniej więcej tak się sprawy mają... Nietoperze wcale nie są niebezpieczne, wręcz przeciwnie, są bardzo pożyteczne. Może nie wyglądają zbyt sympatycznie, ale to rzecz gustu. Z pewnością my też wydajemy się im mało sympatyczni. Jakies dwunożne poczwary bez skrzydeł. A do tego jeszcze takie hałaśliwe. Wstańcie wreszcie z ziemi. Jesteście już zupełnie bezpieczne. Wiercie mi. Och, przepraszam... nam.

— Dobrze wam mówić, wy nie macie takich długich włosów — Śmieszka z leżącej pozycji wytknęła braciom, ale już spokojniejszym głosem. A to, co najbardziej do niej przemówiło i wpłynęło na jej uspokojenie, to nie tyle tłumaczenie Chwatka, co zachowanie Gabcia. Bo skoro ten największy rodzinny strachajło był już tak spokojny, to znaczyłoby, że istotnie musi być już bezpiecznie. Pozbierała się więc jakoś do kupy i podała rękę K-2.

Obie wstały szybko z ziemi i nawzajem otrzepały sobie ubrania. Ukradkiem rozglądały się jednak po jaskini. Tak dla całkowitej pewności. Potem spokojnie przystąpiły do trzepania Chwatkowego pledu. Powoli, dokładnie i z wielkim namaszczeniem, tak jakby od tej czynności zależało ich całe przyszłe życie.

Chłopcy stali naprzeciw dziewczynek i wpatrywali się w nie bez słowa. Pomijając już to, że pled trzepały zbyt długo i to było już niezbyt dla nich zrozumiałe, to ich obrażonych min nikt już w ogóle nie mógł zrozumieć. Zachowanie dziewczynek niektórych chłopców zastanawiało, niektórych dziwiło, a niektórych śmieszyło. Gagatka zdenerwowało:

— Gorzej wam, czy co? — bardziej stwierdził niż zapytał i z wyrzutem posłał w kierunku dziewczynek krótki komentarz: — Same roztrzepane, a roztrzepały się na amen.

— Ty, uważaj, bo ja zaraz ciebie trzepnę... na amen! — wściekła się Śmieszka i przystąpiła z K-2 do składania pledu w równiutką kosteczkę... Powoli, dokładnie i z wielkim namaszczeniem.

Śmieszka czuła się obrażona i była obrażona. Podobnie było z K-2. Obie nagle zdały sobie sprawę jak bardzo się ośmieszyły takim zachowaniem. Zrobiły z siebie nie lada widowisko. Nie mogły tego strawić. Potrzebowały czasu, albo możliwości wyżycia się na czymś, a jeszcze lepiej na kimś. W końcu pierwsza nie wytrzymała K-2, bo zobaczyła wyraźną ironię w oczach braciszka.

— To wszystko przez was — syknęła gniewnie. — Bo kto wam kazał latać za nami. Same byśmy sobie poradziły... Nie, Śmieszka?

— No właśnie! — zawyrokowała krótko Śmieszka. — Po co nam przykrywałeś głowy, Chwatko? Kto ci kazał? Walczyłybyśmy z tymi stworami i nie pozwoliłybyśmy, aby nam się wplątały we włosy. A tak co? Nic nie widząc, nie mogliśmy walczyć.

— No już dobrze, dobrze! Nie bądźcie na nas złe — powiedział Chwatko, kryjąc uśmiech na twarzy. — Chcieliśmy jak najlepiej. Chcieliśmy was ratować. Myśleliśmy, że się boicie.

— My, bać się?! Coś takiego! — fuknęła z urazą K-2 i ostentacyjnie podała Chwatкови równiutko złożony pled. A następnie nachyliła się do Śmieszki i szepnęła jej do ucha: — My im jeszcze pokażemy.

— Moi drodzy, chciałem wam tylko przypomnieć, że czas wreszcie wydostać się na zewnątrz — powiedział do wszystkich K-1 i z szerokim uśmiechem poklepał Chwatka po ramieniu. — Myślę, że najlepiej będzie, gdy skierujemy się już do wyjścia, bo może się okazać, że czeka na nas jeszcze jakaś niespodzianka, a liczy się każda minuta.

— O to chodzi — potwierdził Chwatko i z uśmiechem schował do plecaka jakże mocno wykorzystany pled. Potem szeptem naradzał się o czymś z K-1 i Gryziem, a

po chwili już do wszystkich głośno powiedział: — Ustawmy się znów w wiadomej kolejności i ruszajmy. Tylko powoli i uważnie, bo wszędzie leżą kamienie. Patrzcie więc pod nogi... Idziemy!

Dzieci ruszyły do wyjścia z jaskini. Musiały iść naprawdę powoli i ostrożnie, bo nie tylko pełno kamieni leżało na każdym kroku, ale zrobiło się też bardzo ślisko. Ze stropu kapłała woda. Był to deszcz podziemny, którego wcześniej dzieci nie widziały. Może gdzieś spadło parę kropel, ale nie tak obficie jak tym razem. Dzieciom to zjawisko wydało się bardzo dziwne. Bo jak to możliwe? Nieba nie widać a deszcz pada.

— Ty, Chwatko, co jest grane? — zapytał Gagatek, wycierając moką twarz koszulką. — Trzeba było mówić, że w słoneczny dzień deszcz też może padać, to wziąłbym parasol...

— Ale byś wyglądał z parasolem w jaskini — zarechotał Gryzio. — Jak... nie przymierzając, świnia w chomacie. No ale żarty żartami, a mnie naprawdę ciekawi ten deszcz w jaskini. Dziwne zjawisko. Chwatko, jak coś wiesz na ten temat, to nadawaj.

— Wiem tyle, że jest to deszcz podziemny i właściwie nie jest on niczym niezwykłym. — Chwatko rozpoczął swój wykład. — Tworzy go woda występująca w górnych partiach jaskini w postaci pojedynczych kropli spadających ze stropu...

— Zaraz, zaraz... Chwatko! Nie lej wody, proszę! — Gryzio przerwał kuzynowi. — Jakie pojedyncze krople, ja się pytam? Toż to leje jak z cebra.

— Nie dałeś mi skończyć, a ja chciałem jeszcze powiedzieć, że ten deszcz podziemny, to nic innego jak woda z normalnego deszczu albo z topniejącego śniegu przesiąkająca z powierzchni ziemi siecią drobnych szczelin przez skały. My obecnie wręcz mokniemy w deszczu podziemnym, gdyż stał się on o wiele intensywniejszy. A dzieje się tak dlatego, że najprawdopodobniej podczas zawału doszło do przerwania i powiększenia się szczelin skalnych. Stąd też, jak się wyraziłeś, Gryziu, leje jak z cebra... No ale teraz, szczególnie patrzcie pod nogi, bo zbliżamy się do zawaliska. Będziemy musieli się trochę powspinać, gdyż inaczej nie dojdziemy do wyjścia. Poczekajcie! Mam w plecaku długą linę, wejdem na szczyt zawaliska i jeden jej koniec spuszcze wam na dół, a potem każdemu po kolei bede pomagala sie wspinać. A na gorze zobaczymy, co dalej. No, to do roboty! Aha... K-1, ty chodz za mna, bedziesz oswietlala szczyt, a ty K-2, prosze cie, oswietlaj z dolu droge wspinaczki. Dobrze, K-2?

Wreszcie K-2 mogła się czymś wykazać. Z wielką dumą demonstracyjnie (może nawet zbyt demonstracyjnie) rozbłysnęła pięknym i jasnym światłem. Chwatko i K-1 mogli spokojnie zacząć się wspinać. Chociaż wspinaczka nie należała do najłatwiejszych, to jednak chłopcy mieli wyśmienite humory. Widocznie zachowanie dziewczynek ciągle ich bawiło. Po drodze na szczyt, Chwatko pogrzebał w swym zbawiennym plecaku i wyciągnął ku zdumieniu K-1 parę niezbędnych według niego rzeczy, w tym kilka haków. Tym razem K-1 nie mógł się nadziwić zawartością Chwatkowego plecaka, ba, porównywał go nawet do swojego pasa bezpieczeństwa. Chwatko tylko się śmiał i mówił, że każdy w swoim życiu, bez względu na to gdzie przyszło mu żyć, musi mieć dla własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa najbliższych jakiś tam „pas bezpieczeństwa”.

Chłopcy na szybko powbijali kamieniami Chwatkowe haki w szczeliny zawaliska. Tak, by pozostałym na dole łatwiej się wspinało. Po kilkunastu minutach byli już na szczycie zawaliska. I tam, niestety, to co zobaczyli, zepsuło im dobry nastrój. Otóż okazało się, że zawał był nad wyraz obszerny, bo ze szczytu zawaliska, sięgającego prawie stropu, w ogóle nie było widać wyjścia z jaskini. W normalnych warunkach wyjście z tej odległości byłoby już widoczne. Chłopcy ze smutkiem patrzyli na siebie i nie wiedzieli co dalej począć. Musieli jednak na szybko wymyślić jakieś rozwiązanie, bo dzieci na dole zaczęły się już niecierpliwić.

— Hej, chłopaki, co z wami?! — wołał z dołu Gryzio. — Długo jeszcze mamy tu czekać?! Rzucajcie w końcu tę linę!

— Poczekajcie jeszcze chwileczkę — zawołał z góry Chwatko, wymyślając małe kłamstwo: — Musimy tylko mocno przymocować linę, aby wam się bezpieczniej wchodziło.

Chwatko, zmartwiony nie na żarty, próbował sobie przypomnieć, czy gdzieś w innym miejscu jaskini jest jeszcze jakieś wyjście. O żadnym sobie jednak nie przypominał. Ale, grzebiąc dalej w swej pamięci, przyszło mu na myśl, że w wąskim korytarzu wychodzącym z lewej części komory, byłaby chyba możliwość wydostania się. Wprawdzie byłoby to bardzo niewygodne, gdyż z tego co sobie przypominał, była to wąska szczelina w stropie korytarza. Ale można by było jakoś się przez nią przecisnąć. I gdy Chwatko już powoli odzyskiwał nadzieję i już prawie chciał się nią podzielić z K-1, nagle skojarzył sobie, że przecież w lewej części komory był największy zawał, więc niestety, może o tym zapomnieć, żeby się dostać do tego korytarza. Pierwszy raz przeraził się bardzo. Nie chodziło mu o siebie. Chodziło mu o swoje młodsze rodzeństwo, o swoich kuzynów i księżycowych przyjaciół. Czuł się za nich odpowiedzialny. Postanowił więc spróbować zejść jednak z zawaliska i sprawdzić, czy z byłego wyjścia z jaskini nie zostało nic, choćby najwęższa szczelinka, przez którą mogliby się uratować, albo w najgorszym przypadku (o czym tak naprawdę nawet nie chciał myśleć), wzywać pomocy. Już chciał powiedzieć o tym K-1, gdy zauważył, że ten wyciągnął jakiś mały przedmiot ze swego pasa bezpieczeństwa i przyłożył do ucha dolnej głowy.

— Co chcesz zrobić? — spytał niepewnie przyjaciela, którego miny na obydwu twarzach wyrażały głęboki niepokój.

— Wchodzę w kontakt z ojcem. Nie mamy innego wyjścia, bo nasze zawalone... Ojciec nas stąd wyciągnie. Już on ma swoje sposoby. Bo chyba nie chcesz, żeby się tu zakończyła nasza przyjaźń ziemsko-księżycowa?

— Nie, proszę! Jeszcze nie! — Chwatko podskoczył do K-1 i prawie chciał mu wyrwać z ręki to coś, co zdradzi przed starszymi jego nieudolność. — Na to mamy jeszcze czas. Spróbujmy jeszcze sami wydostać się z tej matni.

Chwatko zaczął naświetlać K-1 swój plan działania. K-1 wszak niechętnie, ale słuchał uważnie, co Chwatko ma mu do powiedzenia. W końcu go przekonał i razem już się zastanawiali jak to powiedzieć dzieciom, żeby je zaistniałą sytuacją zbytnio nie wystraszyć. I tym, że dłuższą chwilę musiałyby zostać same, kiedy oni będą się przedzierać w stronę byłego wyjścia. Ich zastanawianie przerwały jednak dobiegające z dołu nawoływania dzieci.

— Chłopaki, jaki macie problem?! Bo czuję, że jakiś macie na pewno —

przekrzykiwał dzieci Nosolek, głośno podciągając swoim kinolem. — A czuję też, i to bardzo wyraźnie, powiew leśnego powietrza, więc jestem pewien, że wyjście z jaskini musi być blisko. Może nie w tym samym miejscu, co poprzednio, ale jest. To jest niezaprzeczalne. Sprawdźcie dokładniej, a my tu na dole spokojnie poczekamy! Prawda?! Zgadza się wszyscy ze mną?

Co było robić? Trzeba było się zgodzić. Każdy miał już dosyć tej jaskini, która była wcześniej taka piękna i tajemnicza. Może tajemnicza pozostała nadal, ale piękna nie wydawała się już nikomu. Wydawała się wręcz bardzo groźna, zimna, brudna i tajemniczo nieprzyjemna. Każdy marzył, aby jak najszybciej wydostać się z tego nieprzyjemnego już miejsca i poczuć wreszcie zapach lasu, powiew wiatru oraz ciepłe promienie słoneczne.

Dzieci stały wytrwale pod zawaliskiem i z niecierpliwością czekały na wiadomość, jaką przyniosą najstarsi chłopcy. Wydawało im się już, że ich czekanie trwa całą wieczność, a minęło zaledwie parę minut, kiedy znów zauważyły głowy swoich przewodników. A może i wybawicieli?

— No, moi drodzy! Chyba jesteśmy uratowani! — zawołał z góry Chwatko ucieszonym głosem. — Miałeś rację, Nosolku. Jest wyjście. Może nie jest wyjściem samym w sobie, ale my zrobimy sobie z niego wyjście... na wolność.

— Ja chyba tu padnę! — wrzasnął desperacko Gagatek i dla poświadczenia, że mówi prawdę, rymnął jak długi na ziemię. I z tej, jakże znaczącej pozycji, wrzeszczał dalej: — Gadałbyś lepiej jak człowiek, Chwatko, a nie nadawał coś o wolności uwięzionym ludziom. Słuchać tego nie można. Zaraz nas tu cosik trafi, jak nie zaczniecie nas wyciągać z tej olbrzymiej, mokrej i śmierdzącej dziury. Zrozumieliście, wy tam na górze?!

— Zrozumieliśmy! Gagatku uspokój się, już was wyciągamy. Dawaj, jako pierwszy! Łap linę! — wołał Chwatko z góry i jednym końcem liny obwiązał się w pasie i stanął za dużym głazem, drugi rzucił w dół. Śpieszył się bardzo, bo zdał sobie sprawę, jak bardzo ci na dole muszą być przerażeni i wycieńczeni, skoro nawet Gagatek, taki wielki chojrak, popada w desperację.

Zacząła się wspinaczka. Na szczęście przebiegała ona bardzo sprawnie, bo Chwatko i K-1 w przyptywie nowej nadziei odzyskali siły, a może nawet mieli jej o wiele więcej, gdyż niezwykle szybko wciągali wszystkich na szczyt zawaliska. A samo wciąganie wciąganych bardzo się podobało. Nie musieli się wielce trudzić zmudną wspinaczką. Odbijali się tylko nogami od zbocza zawaliska i windowali do góry, wyżej, coraz wyżej. Tak że nawet powbijane przez chłopców haki okazały się niepotrzebne. Dziewczynki musiały swoich starszych braci nawet upominać, żeby je w takim tempie nie wciągali, bo sobie kolana poobijają o skaliste zbocze. Ostatni wciągany, Gryzio, też zażyczył sobie wolniejszego wciągania. Zamierzał po drodze powyciągać ze szczelin wszystkie Chwatkowe haki.

Nie minął kwadrans, a wszystkie dzieci stały już obok siebie na szczycie zawaliska. A stały w ogromnej jasności, bo rodzeństwo K świeciło jednocześnie. Ta jasność sprawiła, że powoli zaczęły odzyskiwać pogodę ducha, a co niektóre, nawet dobry nastrój.

— To było fajowe! Mucha nie siada! — krzyczał rozpromieniony Gagatek. — Jestem gotów zleźć z powrotem na ten wstrętny dół, a wy mnie jeszcze raz

wciągnijcie.

— No, no, ty już lepiej zostań na górze — zaśmiał się Chwatko i na wszelki wypadek złapał braciszka za ramię, aby go przytrzymać. — Została nam niecała tylko godzina do kolacji, a my ciągle sterczymy w jaskini.

— Właśnie. Musimy się pośpieszyć — wtrąciła się Śmieszka. — Bo jak nie zdążymy na czas, to starsi będą na nas źli i szlaban dostaniemy na nasze wspólne wycieczki.

— Gorzej. Zaczną nas szukać — powiedział K-1 z zatroskaną miną na dolnej twarzy i z poważną miną (jak zwykle) na górnej twarzy. — Jak znam mojego ojca, to jestem pewien, że nas znajdzie... i to bardzo szybko. A wtedy? Żegnaj przygodo!

— Ooo, jak się rzeczy tak mają, to lepiej nie ryzykować — zdecydował Gagatek, poklepując K-1 po plecach. — No to jazda z tej nory. Czeka nas przygód moc!

Dzieci ruszyły w stronę domniemanego wyjścia z jaskini. Chwatko nie schował liny do plecaka, tylko nakazał wszystkim chwycić za nią w wiadomej kolejności i tak dla większego bezpieczeństwa powoli iść. Dotarli jednak dość szybko na miejsce, upewniani przez Nosolka, że to będzie dobre wyjście, bo zapach jest dobry. I gdy tak stali z głowami zadartymi do góry, wpatrzeni niczym sroka w kość w wąziutką szczelinę w stropie, nie wiedzieli już, czy się mają cieszyć, czy smucić. I choć pocieszające było to, że przez szczelinę prześwitywało błękitne niebo i dotrzeć do niej nie powinno być aż tak ciężko, to jednak wydawała się ona zbyt wąska, by móc się przez nią przecisnąć. Wyraźnie było widać poprzeciągane przez nią grube korzenie drzew. Tworzyły tak jakby jej okratowanie. Nie wyglądało to najlepiej. Dzieci posmutniały. Ale nie wszystkie.

— Co u licha! — wrzasnął Nosolek tak głośno, że aż wszyscy podskoczyli, bo nie było to do niego podobne. — Chyba nie macie zamiaru się smucić?! Trzeba działać! To dobre wyjście, mówię wam. Gryzio, wyłaź no na górę i tnij zębami to paskudztwo.

— Na kiel mamuta z ery kamienia łup... łup... łupanego...! — zająknął się równie przejęty Gryzio i łupnął brata po karku. — Ty to masz nosa! Nie jeden zwierz mógłby ci takiego wężu pozazdrościć... Wywęszone, znalezione... no i zaraz będzie przegryzione. Jasne jak słońce, tam, w tej szczelinie, że... już się robi, Kinolku ty mój kochany!

Wszystkie pozostałe dzieci były zachwycone postawą braci Poważalskich. Chwatko z K-1 szybko doskoczyli do Gryzia i obwiązali go liną. Chcieli, aby on przerzucił ją na zewnątrz (uprzednio zabezpieczając), kiedy tylko dotrze do szczeliny, a zanim zabierze się za rozprawianie z korzeniami. Myśleli, że będzie mu potrzebna pomoc i byli gotowi jej udzielić.

Gryzio zgrzytał zębami coraz przeraźliwiej, tak jakby tym sposobem chciał je sobie rozgrzać i podostrzyć. Po chwili wszystkie dzieci raźnie podsadzały Gryzia, aby łatwiej mu się wdrapywało po obsypanej ziemią pochyłej ścianie. Widocznie ta zbawienna szczelina powstała w czasie zawału wewnątrz-jaskiniowego, przez którą z powierzchni obsunęła się ziemia, ogałając korzenie drzew. I to był pierwszy pozytywny efekt zawału, jaki przyszło im doświadczyć. Wszystkie dzieci czuły wielkie podniecenie, bo oto zbliża się moment ich wyswobodzenia. Każde z nich chciało mieć swój udział w tym decydującym momencie. A nie mogąc na razie zrobić

nic innego, przepychały się w podsadzaniu Gryzia... Aż tu nagle, rozdzierający wrzask Gabcia zniweczył wszystkie te pozytywne uczucia.

— Maaamciuuuu mooojaaa! — wrzeszczał jak potępieniec największy strachajło. — Ja... jaja ... ja ... ja... szcurka!

Wszystkie dzieci tak bardzo sparaliżował ten wrzask Gabcia, że w momencie odruchowo opuściły ręce, nie bacząc, że Gryzio spadł z dość dużej już wysokości i wyłożył się na kamieniach tuż pod ich nogami. I zanim do ich świadomości dotarło, co się stało, po głowach szalały im przeróżne straszne myśli.

— Ja chyba zwariuję z tym Gabcielem! — potężnym głosem huknął Gryzio z pozycji horyzontalnej. Gryzio tym razem pierwszy odzyskał rezon. Trudno żeby było inaczej. Wściekłość, ból i widok zrobiły swoje. — Zabierajcie te swoje buciory, depczecie po jaszczurkach!

Głośny pisk przeszył każdy wolny zakamarek jaskini. Na szczęście, z tego miejsca gdzie dzieci stały, tych wolnych zakamarków nie było dużo, bo prawie wszystkie zawałone były albo kamieniami albo ziemią, to też pisk ich nie dotarł do echa jaskiniowego. To naprawdę wielkie szczęście, bo złe echo budziło się już pomału ze snu. Aż strach pomyśleć, co mogłoby się znowu stać. A tak, pisk dzieci przez szczelinę w stropie dotarł tylko do echa leśnego. A ono, dobre echo, ich pisk przerobiło na dźwięczną muzyczkę i rozniosło po lesie. Aż się słońce nią zachwyciło i puściło prosto w szczelinę złocisty promyk. I chyba to wszystko razem sprawiło, że dzieci jakoś szybciej się pozbierały i prawie w lot pojęły, co zaszło.

— Już w porządku, wszystkie zwinki uciekły — pocieszającym głosem oznajmił Chwatko, ale po chwili zmroziło go. Coś zobaczył. Jednak dalej zachowywał się bardzo spokojnie. Podszedł do K-2, i patrząc jej głęboko raz w jedną parę oczu, to znów w drugą, próbował ją zahipnotyzować, aby tylko nie popatrzyła pod nogi. — Słuchaj K-2, twoje światło mnie zachwyca. Jest w nim nie tylko jasność, jest też i czułość...

— Ty, Chwatko, ty nie opowiadaj jej farmazonów, tylko popatrz lepiej co ona ma pod prawym butem — rzeczowo określił sprawę Gagatek i na wszelką ewentualność wziął nogi za pas.

— Na wszechmocny Wszechświat! — wrzasnął K-1 i złapał siostrę za rękę, próbując ją ratować. — Uciekaj K-2! Masz zwiniętą szcurkę pod butem...

— Luno* najukochańsza, ratuj! — krzyczała wniebogłosy K-2 i ze strachu wrosła w ziemię, nie dając się bratu ruszyć z miejsca.

* *Luna* — (mit.rzym.) bogini księżyca

I stało się to, co się stać musiało. K-2, szczękając złotymi zębami, stała jak wryta na ogonie jaszczurki, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Jaszczurka natomiast szarpała się z całych sił, by się wyrwać z uwięzi. Rezultat był taki, że jaszczurka zwinka szybko uwinęła się z niebezpieczeństwem. Wyrwała się spod złotego buta K-2 i czmychnęła między kamienie, pozostawiając przerażonej dziewczynce swój ogon. Może na pamiętkę?

— Luno, Luno... Luno najukochańsza! — rozwrzeszczała się ponownie K-2,

wprowadzając wszystkich tym razem w osłupienie. Bo przecież jaszczurka już uciekła, a ta dalej wrzeszczy zamiast się uspokajać. K-2 ze skrajności przeszła w skrajność i zaczęła rozpaczać nad losem jaszczurki. Podniosła z ziemi jaszczurczy ogonek, i zalewając się rzewnymi łzami, lamentowała wniebogłosy: — Co ja narobiłam?! Jestem okropna! Jestem wstrętna! Jestem... jestem głupia! Biedna szcurka zawinięta! Co ja jej zrobiłam?! Pomóż mi Siemieszka, znajdziemy ją natychmiast i oddajmy jej ogonek, proszę!

— Luna?! Jaka Luna?! Co za Luna?! Melepetka! Tak, melepetka jesteś... i tyle! Ale wymyśliła?! — zarechotał głośno Gagatek. — Co chcesz teraz zrobić z tym ogonem? Przyspawasz go jaszczurce, tak jak sobie spódniczkę? Ale będzie widok! Cha, cha, cha...! Auuu... boli! Co mi robisz Śmieszka?

— Jak ty zaraz nie przestaniesz, to stłukę cię na kwaśne jabłko! — krzyczała Śmieszka, biorąc ponownie zamach, aby wymierzyć Gagatkowi ścietaka. — Jak ci nie wstyd naigrywać się z czyichś uczuć. Jesteś wstrętny! Wstyd mi za ciebie!... Chwatko zrób z nim coś, bo ja nie mam już siły do niego... Nie martw się K-2, zaraz coś razem poradzimy...

— Nic nie musicie radzić — uspakajającym tonem powiedział Chwatko do dziewczynek i jednocześnie zatkał Gagatkowi ręką buzię, aby go znów coś nie podkusiło do jej otwarcia. — Naprawdę, kompletnie nic. Jaszczurki mają już takie ogony. Są kruche i łatwo odpadają. Ale to, co was powinno pocieszyć, to to, że ich utracone ogony od samości szybko im odrastają. Tak że możesz K-2 z tym ogonem zrobić co chcesz, bo jaszczurce jest on już i tak niepotrzebny.

— Mówisz prawdę? Czy chcesz mnie tylko pocieszyć? — K-2 podskoczyła do Chwatka z nadzieją w swych wielkich dwóch parach oczu, ściskając w dłoni nieszczęsny ogonek zwinki. A widząc poważne spojrzenie Chwatka, uwierzyła mu i się uspokoiła. — Dziękuję wam moi przyjaciele. Jesteście wspaniali... Gagatek też... A powiedz mi Gagatku, czy ty mnie choć trochę lubisz?

— Yhmmm! — wydusił z siebie Gagatek przez zatkaną ręką Chwatka usta. A gdy ten odetkał mu je wreszcie, ochoczo odpowiedział na pytanie K-2: — Ma się rozumieć, że ciebie nawet lubię, bo inaczej nie przygadywałbym ci po swojemu, tylko bym... nic nie mówił...

— Tak, K-2, możesz być pewna, że tak by było. Nieustanne dogadywanie, to jest jego specyficzny sposób na okazanie komuś sympatii. — wtrąciła się Śmieszka, łagodniejąc już na twarzy. — I chociaż Gagatek ciągle mnie denerwuje swoim zachowaniem, a zwłaszcza... gadaniem, i często mi wstyd za niego, to jednak jednego jestem pewna, że on ma dobre serce. I tak naprawdę nikomu nie zrobiłby krzywdy. Tylko z niego już taki okropny... ancymonek.

— No, no, tylko nie ancymonek! — zaprotestował Gagatek, robiąc przy tym głupie miny. — Wystarczy mi moje imię, bo i też bardziej mi się podoba... Jak chcesz K-2, to razem poszukamy tej bezogoniastej szcurki i oddamy jej resztę jej ciała. Niech ona ma z tym fantem problem, nie ty. I niech ona sobie z nim zrobi co jej się żywnie podoba. Nie chcesz chyba tego kikuta nosić ze sobą? Faj! Zaśmierdnie ci w ręce. A wtedy mnie nawet nie dotykaj!

— Masz rację, Gagatku! — K-2 chętnie przystała na tę propozycję i poszła z Gagatkiem i Śmieszką szukać między kamieniami krótszej o ogon jaszczurki. Po

drodze zastanawiała się, czy dalej chciałyby te „ślicznotki” wziąć ze sobą na Księżyc. Nie była już tego taka pewna.

Za nimi poczłapał też i Gabcio z nad wyraz smętną miną. Gabcio czuł się zaniedbany przez rodzeństwo, gdyż oni tym razem całą swoją uwagę zwrócili na K-2, o nim zapominając. A przecież to on pierwszy wystraszył się okrutnie tych jaszczurkowatych stworów, a nie K-2. Nie czuł się najlepiej w takiej sytuacji, więc wolał przynajmniej być w pobliżu swego brata bliźniaka. — „A gdyby mnie znów coś wystraszyło, to ja już zmuszę Śmieszkę, aby się mną zajęła” — uspokajał sam siebie w myślach. Ale na wszelki wypadek rozglądał się dookoła.

Kiedy młodsze dzieci zajmowały się polowaniem na jaszczurkę, starsze już na dobre forsowały szczelinę w stropie. A ta, powiększała się w oczach z minuty na minutę. To zasługa Gryzia, bo on, nie bacząc na nikogo, ani na swoje bolesne stłuczenia, sam wdrapał się na górę i zajął się przegryzaniem korzeni. Sporo zdążył już poprzegryzać zanim Chwatko, K-1 i Nosolek do niego dotarli, chwając go za dobrą robotę. Potem już w czwórkę pracowali. Praca paliła im się w rękach, a Gryziowi... w zębach. Gryzio kłapał zębami po korzeniach, a pozostali chłopcy odgarniali rękami ziemię. Nim minął kwadrans, awaryjne wyjście z jaskini stało przed nimi otworem.

— Hurrrraaa! — wyrwało się z czterech chłopięcych gardel.

Taki okrzyk zawsze oznacza radość. Wszystkie więc młodsze dzieci, pozostające w jaskini, zareagowały na niego równie radośnie. Tym razem, to dzieci w przypływie radości zabawiły się w echo i wtórowały sobie nawzajem. Rozległ się radosny śpiew. Na górze: „hurra, hurra, huraaa”, a na dole, z pogłosem: „uuurrra, uuurrra, uuuraaa”. I tak na przemian. Dzieciom spodobało się tak wyśpiewywać, tym bardziej że dopiero w trakcie śpiewania zauważyły, jak wspaniała akustyka jest w jaskini. Śpiewały więc na całe gardło. Cztery gardła na dole, cztery gardła górze. A śpiew ich niósł się daleko, daleko, przez lasy, przez pola, przez łąki.

Echo leśne było tak mile zaskoczone tym pogłosowym śpiewem, że się tylko przysłuchiwało. Samo nie miało już tu nic do roboty, bo takiego pogłosu, można było dzieciom jedynie pozazdrościć. Dobrze, że tego śpiewu nie słyszało złe echo jaskiniowe. Nie zniosłoby tak melodyjnej i pięknej konkurencji, i... pękłoby z zazdrości.

— Iii... po śpiewie! — rzucił komendę Chwatko, podnosząc obie ręce do góry w geście uciszenia. — To było piękne! Nie wiedziałem, że my umiemy tak ładnie śpiewać. Musimy to powtórzyć... Ale teraz, moi drodzy, czas wychodzić.

Chwatko szybko i odpowiednio przygotował linę. Jeden jej koniec przywiązał do drzewa (tego nieco ogołoczonego z korzeni przez Gryzia), a na drugim zrobił mocną pętlę oraz kilka węzłów i wrzucił przez szczelinę do środka. Następnie nakazał Śmieszce, aby pokazała Gabciovi jak ma stać na pętli i jak się trzymać węzłowych uchwytów, aby czuł się bezpieczny. A potem już, starsi chłopcy z łatwością wyciągali (po kolei) radosne dzieci — na wolność. Z Gagatkiem mieli tylko trochę kłopotu, bo ten, jakby się szaleju napił, tak szalał na linie. Wykrzykiwał coś o linoskoczku i rozhuśtywał się tak mocno, że chłopcy mieli trudności z utrzymaniem liny. W wyniku jego szaleństw, z górnych partii ściany obsunęła się ziemia. Gagatek, chcąc nie chcąc, musiał przestać szaleć. Przestał się też śmiać. Bo jakże można się śmiać z buzią pełną

ziemi? A że i oczy miał zaprószone i nic na nie widział, pozwolił się w końcu wciągnąć na górę, spokojny już jak aniołek.

Kiedy wszystkie dzieci znalazły się już na powierzchni, poczuły się zupełnie bezpiecznie. Odzyskały całkowicie siły i radość życia. Nawet Gabcio był już radosny. W promieniach słonecznych w mig zapomniał o wszystkich swoich lękach i strasznych przeżyciach. Ba, zapomniał nawet o tym, że wcześniej miał żal do rodzeństwa. Najbardziej ze wszystkich okazywał swą radość i tryskał niesamowitym humorem. Co rusz rechotał, pokazując na każdego palcem, jak bardzo jest brudny i gdzie jest brudny. Najwięcej śmiał się ze swego brata bliźniaka, bo Gagatek był najbrudniejszy ze wszystkich. Buzię miał czarną jak Murzyniátko. Tylko jego niebieskie oczy zdradzały, że nim nie jest. Gabcio naigrywał się z Gagatka i radził mu, aby poszukał sobie teraz brata bliźniaka w Afryce, bo on, Gabcio, już nim nie jest. Potem, czując się w dalszym ciągu na fali, zabłysnął inteligencją i wygłosił krótką mowę:

— Nie wiem, jak wy, ale ja myślę, że przygodę mieliśmy naprawdę wspaniałą. Były momenty mrozące krew w żyłach, ale nic to. Tworzymy razem: „silną grupę pod wezwaniem”, jak mawia papcio. I zawsze damy sobie radę. I chociaż ktoś okaże się słabszym albo bardziej bojaźliwym, to reszta mu pomoże. Jestem tego pewien. Bo nie ma to jak zgranie i chęć przeżycia wspólnej przygody.

Dzieci otrzępywały się akurat z brudu i kurzu, pomagając sobie nawzajem, ale mowy Gabcia wysłuchały z wielkim zainteresowaniem, bez cienia ironii. Nikt nie kpil z niego. Nawet Gagatek z rozdziawioną buzią wsłuchiwał się w słowa braciszka. Wszyscy zgadzali się z Gabcim i na potwierdzenie jego słów, wszyscy zaczęli bić mu brawo.

— No, Gabciu, dobrze mówisz! — zawołał zadowolony Chwatko i poklepał go czule po ramieniu.

Chwatko był naprawdę zaskoczony tym, co usłyszał z ust braciszka. Nie spodziewał się, że akurat jego, strachliwego chłopca (i co tu dużo ukrywać, najczęściej tak jakby mało ro zgarniętego), stać na taką mądrość życiową. I zaraz w myślach skarcił samego siebie, że za mało się do tej pory przykładał, aby go lepiej poznać. Tak myśląc, przypatrywał się Gabciovi z wielką czułością. Przyrzekł sobie, że to się zmieni. Po czym spojrzał na niebo i na wszystkie dzieci i jego zmysł organizacyjny przypomniał o sobie. Poprosił wszystkich o uwagę:

— Słuchajcie, moi drodzy! Musimy się pośpieszyć, bo zanim wrócimy do domu, czeka nas jeszcze kąpiel w potoku. Nie możemy się przecież tak rodzicom na oczy pokazać.

— Przede wszystkim musimy najpierw dotrzeć do naszego samopojazdu, bo został kwadrans do kolacji i nie mamy już szans na czas wrócić do domu — rzekł w wielkiej zadumie K-1. — A jak znam mojego ojca, to na pewno punktualnie, za piętnaście minut, będzie nas sprawdzał, dlaczego jeszcze nie ma nas z powrotem. A właśnie na samopojeździe ojciec zamontował specjalne urządzenie do tego celu. Na myśl mu nie przyjdzie, że my mogliśmy się oddalić od samopojazdu i lepiej dla nas będzie, żeby dalej tak myślał. Biegiem więc. Odnajdźmy najpierw samopojazd, a potem pomyślimy o naszym wyglądzie.

— Poczekajcie! Tylko momencik! — zawołała podniecona K-2, bo zobaczyła nagle

coś dziwnie pełzającego po hałdzie ziemi tuż obok szczeliny, która posłużyła im za wyjście. — Patrzcie, toż to moja biedna szcurka zawinka, czy jak jej tam... Patrzcie, ona pełźnie w moim kierunku... Rrratunku! Nie, nie, żadnego tam ratunku... Och, wszechmocna Luno, spraw żebym nie była... tą... no, tą Gagatkową melepetą... No mówcie, co robić?! Ogonek przecież jej oddałam. Nie znaleźliśmy jej, ale ogonek położyłam na kamieniach. Chwatko, radź coś, prrrooszę!

— Coś mi się wydaje, że ta jaszczurka zwinka pomyliła ciebie ze słońcem. Zapomniałaś zgasić światło i świecisz ciągle jak malutkie słoneczko, a światło odbija się od twojego złotego kombinezonu i butów, a to razem sprawia wrażenie ciepła. Przynajmniej na odległość. A że zwinki lubią się wygrzewać w słońcu, to też jesteś dla niej bardzo atrakcyjna. Nie bój się. Stój bez ruchu. Zobaczymy, co ona chce zrobić... No, nie obawiaj się. Ona ci nic złego nie zrobi... Jestem w pobliżu.

Jaszczurka zwinka podpełzła do K-2, oparła swój trójkątny pyszczek na jej złotym bucie i zastygła w bezruchu. Wpatrywała się tylko w jej pięknie połyskujący but. Tęczówki jej oczu o barwie czerwonej, zaczęły przybierać barwę złocistożółtą. Wyglądała naprawdę dziwnie. Tym dziwniej, że swoimi długimi i mocno zbudowanymi przednimi łapkami obejmowała but K-2, wbijając w niego pazurki, a tylnymi, wyprostowanymi do granic możliwości, i stojąc na palcach, podpierała się, aby nie stracić równowagi. Wyraźnie było widać, że przyjęła taką postawę z powodu braku ogonka, na którym mogłaby się wygodnie podeprzeć. Ale w jej oczach nie było widać cierpienia. Wręcz przeciwnie, wyglądała na szczęśliwą.

Natomiast K-2 była aż spocona z wrażenia, i to na obu twarzach. Na dolnej jednak bardziej. Stała wprawdzie bez ruchu, ale bardziej z powodu paraliżującego ją strachu aniżeli porady Chwatka. Wytrzeszczając oczy na bezogoniastą ozdobę swojego buta, nie wiedziała, co ma robić. Znów wrzeszczeć, czy może jakoś przeczekać aż ten dziwny stwór bez ogona pójdzie sobie skąd przyszedł? Albo może stanie się coś, co spowoduje, że się przestanie bać? Tak czy owak (resztkami sił), ze wzmagającymi się falami dreszczy na plecach próbowała wytrzymać. Po chwili stała się rzecz jeszcze bardziej niesamowita. Kiedy tak wszyscy wpatrywali się w zwinkę bez ogona, między nogami oniemiałego Gagatka pełzła jeszcze jedna jaszczurka. Doppełzła do swojej towarzyszki i tak jak ona oparła pyszczek na bucie K-2, z tym, że podparła się na swoim długim i grubym ogonie. Tego było już za wiele dla K-2. Wiedziała, że za wszelką cenę nie może stchórzyć, by znów nie zrobić z siebie widowiska, ale to, co się stało, było ponad jej siły. Zamknęła więc pośpiesznie oczy dolnej twarzy, górnej postawiła w słup, i drżąc na całym ciele, czekała.

Jaszczurki zwinki swoim niezwykłym zachowaniem zaskoczyły nawet Chwatka. Ale gdy Chwatko zobaczył, co się z K-2 dzieje, podszedł do niej od tyłu i mocno chwycił ją za ramiona.

— Nie bój się, K-2. One są przyjaźnie do nas nastawione. To widać. Nic złego nikomu nie robią. Po prostu polubiły cię i z tobą akurat chcą się bliżej zaprzyjaźnić. Otwórz oczy i podaj mi rękę. A potem drugą nogą zrób tak jak ja krok do tyłu. Zwinki powinny wtedy odskoczyć na bok... No, K-2, pomalutku... tak jak ja... krok do tyłu.

K-2 otworzyła oczy, ale wzrokiem świdrowała tylko koniec swojego nosa. Wyglądała przy tym komicznie. Aż Gagatek prychnął zdławionym śmiechem. Z

wielkim zezem w swych dużych oczach (górne ciągle stały w słupek), pozwoliła się Chwatkoowi chwycić za rękę i gdy ją mocno szarpnął, machinalnie odstawiała nogę do tyłu.

Jaszczurki rzeczywiście od razu odskoczyły od jej buta, ale nie uciekły, stały obok siebie i wpatrywały się w oddalającą się K-2.

Kiedy K-2 tylko spostrzegła, że jej but stał się tak jakby lżejszy, zaczęła się szybko oddalać (tyłem do przodu), ciągnąc za sobą ubawionego Chwatka.

— Co to znaczy, Chwatko? — drżącym głosem zapytała, wycofując się wciąż na raka, ale już patrząc na jaszczurki. — Czy one wreszcie zrozumiały, że ja nie jestem żadnym słońcem?

— Może tak, a może i nie. Zobaczymy, co one dalej będą robić. Bo my teraz, już wszyscy razem, oddalamy się od tego miejsca i powoli udajemy się wzdłuż skał na zachód. Gdzieś tam musi być ukryty nasz samopojazd... Słyszycie? Ruszajmy... O, widzicie, zwinki zostały. A teraz biegiem!

Dzieci biegły jak szalone. Najszybciej biegła K-2, a za nią, z głośnym chichotem, biegł Gagatka, ciągnąc za sobą zziąjanego Gabcia.

— Ho, ho, K-2, dobra jesteś! Potrafisz szybko biegać... Jak zając na widok dwururki leśniczego — stwierdził Gagatka zasapanym acz bardzo ubawionym głosem. — Ty zawsze tak? Czy tylko teraz? A swoją drogą, nie widziałem jeszcze, aby ktoś tak szybko uciekał od przyjaźni. Przecież te jaszczurki ciebie polubiły. A i ty wcześniej chciałaś, aby ci te „ślicznotki” złapać, bo miałaś ochotę wziąć je do domu na Księżyc.

— Och, Gagatku, nie nabijaj się już ze mnie — odrzekła K-2 całkiem normalnym głosem, bez najmniejszej oznaki zasapania, i biegnąc dalej. A biegła tak szybko, jakby ją kto gonił, nie zwalniając ani na moment. — Mówiłam tak, bo wcześniej nie widziałam żadnych ziemskich zwierząt. Ale gdy zobaczyłam, najpierw te wasze nietoperze gackowate i zaraz potem te szczurki zawinięte, to się trochę przeraziłam. Bo muszę ci się przyznać, że one nie spodobały mi się z wyglądu. Nie są zbyt, no wiesz... piękne... A tobie się podobają?

— Są tak szpetne, że... aż piękne. Ale jak mówił wcześniej Chwatko, może my też im się nie podobamy z wyglądu, a jednak nie meldowały nam tego, tylko łążą za nami. No, właściwie za tobą... Może im przypominasz mamę? Macocha z ciebie, a nie mama! Czemu je odrzuciłaś? Biedne ślicznotki-sierotki! Na pewno tam teraz płaczą samotne.

— Gabciu, też tak myślisz? — poważnym głosem zapytała K-2 i przestała biec. — Serce zaczyna mi się krajać.

— Nie słuchaj Gagatka, on zawsze trochę przesadza — wysapał kompletnie zziąjany Gabcio i wyrwał bratu swą rękę z jego mocnego uchwytu. — Dzięki K-2, że się zatrzymałaś. Bo już myślałem, że wypłuję z siebie... te, no... no wiesz, to jest inny organ niż ten, co tobie zaczyna się krajać... A właśnie! Płuca. Dziękuję za odpowiedź, braciszku. Ufff! Wykończyliście mnie. Padam z nóg.

— Co wam się stało? Tak fajnie żeście zasuwali, a teraz stoicie — zaniepokoił się Chwatko, dobiegając z resztą dzieci. — A ty, K-2, długo tak jeszcze masz zamiar świecić i robić konkurencję słońcu?

— Co tam konkurencja. Bateria jej się wyczerpie i oklapnie całkiem, i... będziemy

musieli ją nieść — zameldował swoje podejrzenie Gagatek i na wszelki wypadek uciekł spory kawałek do przodu.

— No nie! On znowu zaczyna! — wrzasnął Chwatko i spiorunował braciszka wzrokiem. — Gagat, natychmiast przestań i przeproś K-2!

— No coś ty, Chwatko? — zaśmiała się K-2 i ręką pomachała Gagatkowi. — Przecież to, co on mówi, zawsze ma jakiś sens. A że on to mówi w taki a nie inny sposób, to wcale nie obraża, jak się go już bliżej pozna. Wręcz przeciwnie... Gagatku, poczekaj na mnie, nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy... No czekaj, pozwolę ci wyłączyć moją jasność!... Daj rękę Gabciu, razem dogonimy Gagatka.

— No właśnie, gońcie dalej — powiedział Chwatko i z dezaprobatą pokręcił głową, mając ciągle na uwadze zachowanie Gagatka. Po czym odwrócił się do reszty dzieci, które po tak ostrym biegu sapęły jak stare lokomotywy (oprócz K-1) i krzyknął: — My też... jazda... biegniemy! To już niedaleko.

Po krótkiej chwili wszyscy dotarli do miejsca, gdzie wcześniej było wejście do jaskini. I wszyscy też od razu chcieli się bliżej przyjrzeć temu zawalonemu wejściu i sprawdzić, czy faktycznie nie mieliby żadnych szans tędy się jakoś wydostać. I choć z daleka było już widać, że tak by było, to jednak wrodzona ciekawość pchała ich do przodu. Chwatko wprawdzie nakazywał dzieciom się zatrzymać, że tylko on z K-1 podejść bliżej, ale nie było mowy, aby pozostałe dzieci go posłuchały. Wszystkie coraz bliżej podchodziły do tego feralnego miejsca... Aż tu nagle, nie wiadomo skąd, uszu ich dobiegł groźnie brzmiący odgłos, coś w rodzaju jazgotu rozsuwających się skał. Skojarzenie w takim przypadku mogło być tylko jedno. Dzieci spanikowały i zaczęły w popłochu uciekać na łeb na szyję jak najdalej od skał. Gdy tak uciekały, miały wrażenie, że ten dźwięk albo goni za nimi albo rozlega się przed nimi. Zdezorientowane zupełnie biegały w różnych kierunkach, chaotycznie, niczym bakterie pod mikroskopem. W końcu uszu Chwatka dobiegł głośny śmiech K-1 i K-2. Zatrzymał się wtedy momentalnie i z wielkim znakiem zapytania w oczach popatrzył na rodzeństwo K. A ci w najlepsze pękali ze śmiechu, trzymając się za brzuchy. No, tego było już za wiele dla dumnego Chwatka...